

Pielesz Marcin

Malarz

Z „*Fahrenheit*”

ilustracje Małgorzata "Asfodel" Jakubiak

Siedział i patrzył, pociągając od czasu do czasu z cynowego kufla. Przed nim rozciągał się kwadratowy rynek miasteczka, otoczony przez niskie, drewniane chałupy, kryte gontem lub strzechą – w zależności od zajęcia i zasobności sakiewki właścicieli. Wszystkie domy miały jednak pewną ważną, wspólną cechę – sklepienie, oparte na dębowych słupach podcienia. Miało to dodawać miasteczku powagi, a rynkowi znaczenia. W nich też zasiadali wieczorami gospodarze, by gwarzyć przy piwie o interesach, polityce i cudzych babach. Obecnie zarówno podcienia, chałupy, rynek jak i okolice miasteczka zajęło kwaterujące wojsko i nie tylko nie pozwalało na wieczorne pogawarki o polityce, ale w dodatku zajęło się babami gospodarzy na swój własny, wojskowy sposób. Tak przynajmniej było przez kilka pierwszych dni. Teraz, powoli, oficerowie zaczęli na powrót brać żołnierzy w twarde karby karność i drylu wojskowego. Na rynku zapanował ruch, kręciła się po nim cała chmara żołdaków wszystkich rodzajów wojska. Kirasjerzy pobrzękiwali ciężkimi pancerzami i patrzyli spode łba na arkebuzerów, co to dźwigali na sobie mniej funtów żelastwa. Muszkietery dosypywali prochu do torebek na bandolierach i lali kule przy palącym się na środku rynku ogniu. Pikinierzy ostrzyli groty pik i nasadzali je na nowe drzewca. Dragoni trzymali się z dala od oddziału niedawno zwerbowanych rajtarów, chłopów wielkich, ubranych w żółte kolety i czarne kapelusze z fantazyjnymi pióropuszcami. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w hełmach i szyszakach, błyszczały w nitach kirysów. Brzęczały rapiery ostrzone o kamienną cembrowinę studni. Kulbaczono konie i smarowano osie wozów taborowych. Armia szykowała się do wymarszu.

Yann z zainteresowaniem przyglądał się żołnierzom. Starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów uzbrojenia. Zawsze zwracał uwagę na szczegóły, one właśnie miały decydujący wpływ na całość obrazu, na jego wartość. Sposób przedstawienia, oświetlenie, oddanie kształtu, barwy, wrażenia lekkości... Yann splunął, kręcąc z niesmakiem głową. Niepotrzebnie pogrążył się w pustych rozmyślaniach.

– Jesteście, panie, Yann van Aemstel, malarz? – Na schodach karczmy stał oficer kirasjerów. Towarzyszyło mu dwóch brodatych gwardzistów z solidnymi halabardami w łapach jak bochny. Yann zatrzymał spojrzenie na płaskim napierśniku, pokrytym zdobieniem przedstawiającym dwugłowego orła.

– Jesteście van Aemstel, malarz? – powtórzył głośniejszym głosem oficer

– A jeżeli nawet jestem, to co tobie do tego?

– Pójdiesz z nami i nie próbuj oporu.

Yann nie miał zamiaru stawiać oporu, tym bardziej, że ostrza halabard znalazły się dość blisko rzemienia, którym zasupłał pod szyją koszulę. Poza tym oficer mógł odwołać się do pomocy kręcących się po rynku kompanów o zalutowanych w blachę łbach i pięściach. Yann powoli podniósł się z ławy, odsunął ostrożnie obu rękoma groty halabard i ruszył chwiejnym krokiem za oficerem, pobrzękującym przy każdym kroku stalą kirysa.

– Gdzie mnie waćpan raczysz wieść, panie oficerze.

– Milcz, pacykarski czarowniku!– Jeden z gwardzistów kolnął Yanna w plecy.

– Po pierwsze, nie jestem już malarzem, odkąd Najjaśniejsza Pani zakazała wszelkiej sztuki poza dworską, a po drugie, nie do ciebie mówiłem, hajducka pokrako, tylko do pana oficera, jako wojskowej osoby.



Gwardzista poczerwieniał z gniewu na gębie, zamachnął się drzewcem halabardy i nie wiedząc czemu, wyłożył się jak długi, trafiając nosem w kupę końskiego nawozu. Przyglądający się tej scenie, siedzący na stopniach chałupy dragoni ryknęli śmiechem.

– Szybciej, do kurwiej maci! Feldmarszałek kazał go przywlec jeszcze przed wymarszem!

– Sam naczelny wódz książę Karol Hannibal von Dorna, a to mnie zaszczyt spotkał! – Yann, wbrew własnym słowom, robił wrażenie kogoś, kto nie do końca jest w stanie uświadomić sobie ów zaszczyt i honor

* * *

Piwo, gorzalka i coś tam jeszcze powoli parowało Yannowi ze łba. Izba miejskiego cekhauzu pogrążona była w mroku, mimo że na zewnątrz słońce jeszcze nie zaszło. Zamknięte okiennice nie wpuszczały do środka zbyt wiele światła i jednocześnie chroniły wnętrze przed ciekawskimi spojrzzeniami. Na środku izby postawiono dębowy stół na cokolwiek spróchniałych nogach. Zawalony był zwojami map i planów, jak to zwykle bywa na kwaterach dowódców wojska. Siedział za nim chudy mężczyzna, ubrany w czarną kurtę z wyłożonym na wierzch koronkowym kołnierzem. Połowę twarzy szczupłej, o ostrych i regularnych rysach oświetlała paląca się na stole łożówka, połowa pogrążona była w mroku. Mężczyzna bawił się puginałem o bogato zdobionej rękojeści i spoglądał na Yanna.

– Jego Książęca Mość Karolus Hannibal von Dorna, Wielki Łowczy Świętego Cesarstwa, Naczelny Wódz Zjednoczonej Armii Zachodu. Proszę łaski pana, czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Daruj sobie tę ironię, mistrzu.

– Mistrzu? Odkąd to byłych malarzy obdarza się tak łaskawym mianem? Czyżby Nasza Najjaśniejsza Pani, Światło Imperium, odmieniła swoje wyroki i sądy.

– Dobrze wiesz, waszmość, że przeciwny byłem temu edyktowi i starałem się powstrzymać srogość Najjaśniejszej Pani przeciw waszej konfraterni.

– Zbytek łaskawości książę. Cech sam się obronił.

– I złamał prawo, stając u boku wrogów cesarstwa.

Cień przesunął się po twarzy malarza.

– Nie staliśmy się wrogami cesarstwa, walczymy przeciwko tyranii, która pęta ręce. Nigdy żaden mistrz cechu nie złamie praw naszego związku.

– To popatrz na to malarzu.

Książę porwał ze stołu łożówkę i uniósł ją ku górze. Płomień świecy oświetlał teraz całą twarz księcia, ta jej połowa, którą jeszcze przed chwilą spowijał mrok, pokryta była czerwonymi ropiejącymi wrzodami. Ohydne wykwity kończyły się równo z linią nosa, obejmowały połowę czoła, lewy policzek, połowę ust. Widoczne były pod szpiczastą bródką i na lewej stronie szyi.

– Paskudna infekcja, potrzeba Waszej Książęcej Mości medyka, nie portrecisty.

Książę pobladł z gniewu, zacisnął dłoń na ramieniu malarza a drugą, uzbrojoną w sztylet, zbliżył do jego szyi.

– To sprawka jednego z waszych!

Yann nie poruszył się. Patrzył w oczy von Dorna.

– Nigdy żaden mistrz cechowy nie złamał praw związku, powtarzam...– usta drgnęły mu kpiącym uśmiechem.– Ale walczymy z tyranem i jego sługami.

Książę pchnął malarza ku niskim, okutym drzwiom, prowadzącym do przyległej komory. Yann przekroczył próg. Niski pokój mieścił zaledwie wąskie łóżko. Leżała na nim młodzianka dziewczyna, prawie dziecko, spała oddychając niespokojnie. Tak, jak i Książę, połowę twarzy pokryta miała wrzodami. Ale nie tylko. W połowie była to twarz starej kobiety z siecią drobnych zmarszczek. Siwe włosy, mieszały się z kruczoczarnymi.

– Powiadasz, że nikt z was nie złamał prawa cechu. To moja córka. Ma ledwie trzynaście wiosen. To dziecko jeszcze. Zabawki i łakocie jej były w głowie. Nigdy z wami nie walczyła! Twoi konfratry rzucili klątwę i na nią, choć podobno macie chronić i pomagać słabym i niewinnym! Powiedz, często widzisz słabszych i bardziej niewinnych niż to dziecię?! Powiedz! Za co ją to spotkało! Takiś dumny ze swego cechu i jego praw i zasad. Powiedz, jakie prawo skazało moje jedyne dziecko na takie cierpienie?!

Yann podszedł do leżącego na łożu dziecka. Pochylił się nad dziewczynką, odgarnął jej włosy z czoła i począł z uwagą przyglądać się znamionom i zmarszczkom na twarzy i szyi. Badał znaki na ciele dziecka przez dłuższą chwilę, po czym okrył dziewczynkę kołdrą i poprawił jej poduszkę pod głową.

– Cóż, Książę, rzecz zda się wyglądać zgoła inaczej. Musicie mieć jakichś zajadłych wrogów na dworze. Prawdę rzekłszy, nic w tym dziwnego. Wściekłe psy zagryzają się między sobą. Tylko w czym im to dziecko zawiniło?

– Przecież to metody waszego przeklętego bractwa.

– Książę, dobrze wiecie, znalazło się i w bractwie kilku renegatów, którzy zrobią wszystko za sakiewkę. Ciekawym tylko, któż to zagiął parol na was. Ale nie moja to rzecz i nie czas na politykę.– Yann spojrzął raz jeszcze na dziewczynkę.– Tak, pomogę wam. Zresztą robię to tylko dla tego niewinnego dziecka.

* * *

Wioska nie wyglądała na gościnną. Chałupy kryte mokrą, przegniłą słomą chyliły się ku ziemi, co niektóre podparte już nawet brzoźowymi kołami. Przez środek wsi bieгло coś na kształt drogi tak rozmokłej, że kopyta konia grzęzły w błocie po pęciny. Na środku w wielkiej kałuży leżały resztki wychudzonej krowy. Od truchła poderwało się kilka półdzikich psów i rzuciło na jeźdźca z głośnym ujadaniem. Odpędził je uderzeniem harapu, ale dalej biegły za koniem, warcząc i czekając tylko okazji, by znów doskoczyć. Yann skierował wierzchowca w stronę największej i zarazem najmniej pochylonej chałupy. Nad wejściem kołysała się deska z koślawym napisem " Karczma pod Pijanym Strzygoniem". Ruch przy koniowiązie, a może chlupot wody i mlaskanie błota pod końskimi kopytami, wywabiły ze stajni chudego niedorostka. Malarz rzucił mu wodze i wszedł do gospody.

– Czym można służyć waszej miłości? – brodaty karczmarz giął się w ukłonach. Wokół pasa okręcony miał fartuch, którego biały kolor stał się wspomnieniem na długo przed narodzinami właściciela, teraz posłużył do wytarcia blatu zatłuszczonego stołu. Wzrok karczmarz prześlizgiwał się po wypchanych sakwach podróżnych, pokrytej futrem burce i wiszącej na rapciach zdobionej szabli.

– Daj mi coś do zjedzenia i zagrzej garniec piwa. Okrutniem przemarzł. – Yann rozglądał się po karczmie.

Izba była dość obszerna, z niskim i pociemniałym ze starości sufitem. Niewielki ogienek płonął na palenisku komina, przy którym kręciła się dziewczka o dość obfitych kształtach i rozpuszczonych, czarnych włosach. Yann rozparł się wygodnie na ławie i z zaciekawieniem przyglądając się karczmarce, zanurzył łyżkę w michę gorącej kaszy z kawałkami mięsa. Jedzenie nie było wyszukane, ale okazało się dość smaczne. A piwo, obficie zaprawione korzeniami, miało nielichy smak. Dziewczyna zaś, uśmiechała się zachęcająco i przy każdej okazji nachylała się ku podróżnemu, ukazując tajemnicę głębokiego dekoltu, ukryte za niedbale zawiązanym gorsetem.

– Czegóż to u was takie pustki? Zimnica i deszcz, to gospodarze mogliby się przy piwie i gorzałce niezgorzej zagrzać. – Yann, posiliwszy się, poczuł ochotę na pogawędkę.

– A poszła do garów! – karczmarz odpędził dziewczynę ku palenisku. – Ot, wasza miłość, wojna, chłopcy albo z podwodami za armią ciągną, albo się z babami po lasach kryją. We wsi jeno parę staruch zostało i trocha dzieciaków, jak ten nasz koniuch. Cesarscy kazali bydło porznąć i spalić, bo pono wściekłe. Któż to widział kiedy wściekłą krowę, czy krowa to wilk, albo inny pies? Już nam przyjdzie zdechnąć z głodu, bo z czegóż ma żyć biedny karczmarz w takich czasach.

– Ale piwo u was niezgorsze – pochwalił Yann.

-Dziękuję waszej miłości, toż trzymam ostatnią beczuleczkę dla takich znaczniejszych gości. A może jeszcze się wasza miłość napijecie.

Karczmarz nalewał do cynowego kufla napoju, a w jego oczach płonęły dziwne iskierki.

Dziewczyna w kącie izby również uśmiechała się przymilnie i śmiało patrzyła na gościa. Piwo nie tylko w smaku ale i w mocy musiało być niezgorsze, bo Yann poczuł, jak mu głowa ciąży nieco.

– Tak, okrutniem zdrożon gospodarzu. Prowadźcie gdzieś, gdzie bym mógł się przespać – poprosił, dopiwszy.

– Durgha, a zabierz sakwy wielmożnego pana!– krzyknął karczmarz do dziewczyny. – Głupia dziewczka, urodę po matce nieboszczce, przepraszam waszej miłości, odziedziczyła, ale rozumu to już jej nie stało. Proszę za mną, biednie tu u nas, ale czem chata bogata.

Komora mieściła dość szerokie łóżko i skrzynie na ubrania. Yann rzucił sakwę na łożo, odpasał szablę i począł zzuwać buty. Karczmarz zostawił na skrzyni kaganek i, gnąc się w ukłonach, tyłem wycofał się ku drzwiom.

– Dobre piwsko, jadło niezgorsze, karczmareczka niebrzydka, ale miejsce dziwne jakies – myślał Yann, rozwieszając onuce, by do rana przeszły choć trochę.

* * *

Obudziło go ciche skrzywienie. Nie poruszył się, zacisnął tylko dłoń na rękojeści pugiuału i śledził ruch w wolno otwieranych drzwiach. Rozpoznał w mroku sylwetkę dziewczyny. Karczmarka ostrożnie i cicho skradała się w stronę łoża. Całym jej strojem była peleryna z długich rozpuszczonych włosów. Światło księżycy przedostające się przez błonę w okienku komory oświetliło jej twarz. Dziewczyna uśmiechała się zagadkowo i dziwnie – zaciśniętymi wargami.



– A to mi się trafia okazja! – pomyślał Yann, obserwując ją spod półprzymkniętych powiek. Durgha zatrzymała się u wezglowia i przez chwilę przyglądała się leżącemu malarzowi. Szybkim ruchem odgarnęła opadające jej na twarz włosy, pochyliła się ku jego szyi i rozchyliła usta, ukazując potężne, jak u wilka, kły. Yann zerwał się z łoża, zasłonił ostrzem pugiuału, a lewą dłoń wyciągnął w stronę wampirzycy, rozcapierzając palce. Siła zaklęcia odrzuciła Durghę ku ścianie. Dziewczyna wyla się na podłogę, wrzeszcząc, wściekle szarpała pazurami powietrze przed sobą, a w jej wzroku było tyleż bólu, co i nienawiści. Yann nie cofał jednak dłoni i nie przestawał szeptać formuły zaklęcia. Wampirzyca z jękiem osunęła się na ziemię i zemdlała.

– Panie, nie zabijajcie jej. – Karczmarz wpadł do komory i rzucił się na podłogę, zasłaniając córkę własnym ciałem. –Wybaczcie panie, nie wiedziała, żeście mag.

– Ilu zagryźliście już w tej komorze? Wieśniaków już nie ma, to czyhacie na podróżnych.– Yann wciąż był gotów do rzucenia kolejnego zaklęcia

– Panie my niewinni, niewinni – jęknął karczmarz. – Głupia dziewczka, chciała was w wapiersza przemienić! Na mistrza konfraterni się porwała! Durna baba! Jeszcze tego mi brakowało. A czemuż mnie losy pokarały taką głupią córką. Najpierw za chłopakami we wsi goniła, za żołnierzami, jak u mnie kwaterowali, a teraz mi klientów napastuje. Ścierwo! O ja nieszczęśliwy, o ja biedny. Sam to czasami, jeno raz, dwa razy w roku jakiego chudziinę przydybie i mu krwi upuszczę. Ot, tyle co nic! A ta wciąż by jeno piła i piła. Umiarkowania dziewczka nie ma.

Yann ze zdziwieniem patrzył na karczmarza. Powoli nabierał przekonania, że od dwojga wampirów nic mu już nie grozi. Zaklęcie osłabiło Durghę, która teraz zwolna budziła się z omdlenia, otępiąłym wzrokiem rozglądając się po komorze. Karczmarz zaś wydawał się dobrze wiedzieć, co może mu grozić ze strony maga i wyraźnie nie był chętny doświadczyć tego na własnej skórze.

– Chodź stary. Należesz mi jeszcze tego waszego piwa.

Gospodarz usłużnie lał ciemny płyn do pucharu i usta mu się nie zamykały.

– Wasza miłość, cóż tam... Ciemne ludzie prawią wapiersz, upir, wampir, w nocy jak nietoperz lata, krew z gardeł ludziom i zwierzętom wypija. Baśnie, bajdy. My jeno czasem krwi napić się musimy, ale rzadko, ot tak dla zdrowotności. Taka już w naszym rodzie słaba konstytucja, jako mi mój krewniak,

któren jest w stolicy medykiem, powiadał. Jakoś to tłumaczył, coś o przetaczaniu, nie pojąłem. Cóż, jak się żyje trzysta, czterysta lat, to się krew musi zużywać. A głupie ludzie w bajdy wierzą i niewiedomo w co jeszcze...

– To, powiadasz, trzysta lat żyjesz?

– Ja młody jeszcze jestem, jeno trzysta sześćdziesiąt osiem. Albo i siedem?– zawahał się wampir. – Ale mój dziadziś nieboszczyk, to miał sześćset pięć, jak go głupie chłopcy razem z jakimś mieszczkiem pojmały, łeb odcięty i przebiły osikowym kołkiem. A dziadziś taki mądry wapiersz był, taki uczony...

Yann pokiwał głową, ze zrozumieniem dla żalu po mądrym i uczonym dziadziusiu. I przysłuchiwał się dalej paplaninie karczmarza. W każdym mieście, stary i jego dziewczka podzieliliby smutny los swojego protoplasty. Tu, na pustkowiach Obszaru wiedli spokojne życie, jak i wielu innych wyrzutków, banitów, zbójów nawet, których cesarstwo nie rade było gościć w swych granicach.

– A jak się zwiesz stary?

– Beiszser Nunatan, do usług waszej miłości. Yann w zamyśleniu zaczął wodzić zamoczonym w piwie palcem po blacie stołu. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, patrzyli przy tym po sobie na pół podejrzliwie, na pół z rosnącym zaufaniem. Milczenie przerwał karczmarz.

– A wy panie jesteście mistrzem cechu. Malarskiego.

– Tak? Coś za sprytny jesteś. Jak to poznałeś?

– Cóż, przecie mówię, że mam już na karku trzysta osiemdziesiąty któryś krzyżyk. Zrazu nie poznałem, ale chyba się nie mylę? Jedziecie pewnie do zamczyska.

– Domyślny z ciebie wapiersz.

– Bo widzicie panie, jakoś zanim się te jesienne słoty na dobre zaczęły, był tu u nas w gospodzie jakiś wasz brat cechowy, tak to bodaj zwiecie.

Yann spojrzał badawczo na Beiszera.

– Nie rozgłaszał, że jest malarzem, ale pacholek trocha rozejrzał się po jego jukach i znalazł malarskie przybory. Dziś już rzadko kto na tym trakcie wozi takie rzeczy ze sobą. Przecie cesarzowa zakazała ponoć tej sztuki. Krótco tu u nas był, nawet nie nocował, jeno odpoczął mało-wiele i pognął konia na wschód, pewnikiem ku zamczysku. A nawet łachudra, uczciwie nie zapłacił za posiłek. Nie to co wy, panie. Dziwny też był jakiś. Całkiem inny od was, pewnikiem dlatego Durgha nie poznała w waszmości konfratra. Gadał ze misyje ma, co by świat naprawić. Winnych ukarać. Władze w ręce tych, co zasługują, a nie takich, co im krew prawo daje do rządów. Jak o tej krwi wspomniał, to tak straszno jakoś. Nawet nie pytałem, co miał na myśli... nie śmiałem.

– Ciekawe rzeczy prawisz, Beiszser. I powiadasz, że podążył ku zamkowi. A skąd wiesz, przecie do starej siedziby cechu jeszcze kilka dni drogi.

– A gdzieby indziej jechał, panie. Nikt o zdrowych zmysłach z całym tym malarskim majdanem nie błąka się tak sobie po stepie. Musiał ku zamczysku jechać, aby tam te przekłete gusła odprawiać. O, wybaczcie mistrzu, tegom nie chciał rzec.

Yann uśmiechnął się i sięgnął po puchar.

– To nalej, Beiszser, jeszcze tego piwa. Dobre piwsko warzysz, krwiopijco.

Kopyta konia głucho uderzały o deski mostu, wzniesionego nad zarośniętą zielskiem fosą. Przed Yannem majaczyło w mroku wielkie, przez wieki stawiane gmaszysko, główna siedziba konfraterni. Świadek świetności i upadku cechu. Na wałach zamczyska od wielu lat nikt już nie stróżował, a przymknięte wrota zwisały na pordzewiałym zawiasie. Yann wjechał na podwórzec, zsiadł z konia i puścił go na popas wśród bujniej trawy. W zamku od wieków mistrzowie ukrywali swoje tajemne malowidła, portrety rzucające urok, zniekształcające konterfekty, rysunki dające władzę nad ludźmi i wszelkie dzieła, o których zwykli śmiertelnicy jedynie szeptali, z obawą rozglądając się wokół siebie. Wszystkie te tajemnice doprowadziły koniec końców do zguby Cechu, a konfratrów uczyniły wiecznymi banitami, lub tak jak to było z Yannem, włóczęgami, bez zajęcia. Tutaj, daleko poza granicami cywilizowanego świata, Yann miał pewność, że odnajdzie także portrety księcia i jego córki. Tylko to miejsce miało niegdyś moc czynienia magii, a i teraz owa moc była czasami, choć z rzadka wykorzystywana przez ostatnich, prawdziwych Mistrzów.

Yann przyglądał się z zadumą murom starej budowli, do której każde z pokoleń budowniczych próbowało dodać coś od siebie. Tworzyło to razem przedziwny konglomerat wielu najróżniejszych elementów, powstały z wielorakich materiałów, łączonych przez pokolenia murarzy. Wielkie granitowe głazy, stanowiły fundamenty zamczyska, na nich wznosiły się kamiennie – ceglane mury, przecięte ostrołukowymi oknami o różnokolorowych, teraz porozbijanych witrażach. Każda z czterech baszt, stojących na narożnikach budowli miała inny kształt. Wszystkie jednak zwieńczone były kiedyś wysokimi, błyszczącymi hełmami. Teraz pozostały z nich tylko resztki, w których gnieździły się stada wron i kawek. Pordzewiałe rynny zwisały z murów, a woda kapiała z rzygaczy uczynionych na kształt smoczyc paszcz i ptasich dziobów. Główna brama ozdobiona była wysokim, głęboko wcięтым portalem, zdobionym korowodem postaci, połączonych w tańcu św. Wita. Dama kroczyła obok brzuchatego kupca, mnich podrygiwał przy boku srogiego rycerza, dziecko podążało za chudą staruchą w łachmanach. A wśród nich z zadowoleniem podskakiwało kilka kościotrupów.

Yann smutno uśmiechnął się, patrząc na zniszczone rzeźby. Wszedł po stopniach i popchnął drzwi, które ustąpiły ze zgrzytem, mroczny korytarz zamkowej sieni stanął przed nim otworem.

I tutaj ściany pokryte były freskami. Były to jednak malowidła szczególne – uwieczniono na nich bowiem dawnych nieprzyjaciół cechu, którzy lekkomyślnie narazili się na gniew Mistrzów i tym samym przypieczętowali swój los. Długi szereg fresków, przerywany od czasu do czasu zbutwiałymi już rzędami portretów, ciągnął się od korytarza poprzez wszystkie sale zamkowe – Yann kiedyś obejrzał je wszystkie. Powoli mijał pogrążone w półmroku komnaty, przypatrując się resztkom malowideł. Mężczyźni i kobiety, ci, którzy w jakikolwiek sposób próbowali przeciwstawić się władzy Mistrzów, przeciwnicy, wrogowie, konkurenci, koślawi, połamani, o twarzach zniekształconych przez blizny, choroby i cierpienie. Poskręcani bólem, ułomni, chorzy. Klęczeli, leżeli, czołgali się, czasem wspierali na drewnianych kulach – długie szeregi ludzi pokonanych okrutną magią. Świadek panowania konfraterni, tajemnica przez stulecia ukrywana w twierdzy na krańcu Obszarów. W końcu i tej twierdzy przyszło ulec szturmowi i czas Cechu minął bezpowrotnie. Nie było już Mistrzów, ale strach przed nimi pozostał. Pozostała też i moc w ruinach zamczyska, nie taka silna jak dawniej, ale wciąż wystarczająco potężna, by tchnąć czar w kolejne obrazy. I wciąż byli tacy, którzy ośmielali się z niej korzystać. Yann doskonale wiedział, że do starych zaklęć i obyczajów sięgano najczęściej na polecenie nie kogo innego, a właśnie pogromców cechu – władców cesarstwa.

Uważnie szukał nowych śladów na ścianach.

Nie usłyszał niczych kroków, poczuł jedynie, że ktoś stoi za jego plecami.

Wielki, kościsty staruch w brudnej, kiedyś białej, jedwabnej koszuli i purpurowych spodniach, wpuszczonych w wysokie skórzane buty, ruszył na niego bez najmniejszego ostrzeżenia. W rękach

dzierżył berdysz o szerokim żeleźcu, u pasa zwiisał mu wielki rapier. Staruch machnął berdyszem, tnąc powietrze niebezpiecznie blisko twarzy uskakującego Yanna. Przekrwione oczy w brudnej twarzy okolonej siwą brodą, śledziły każdy ruch przeciwnika, bez wątpienia lśniło w nich szaleństwo. Van Aemstel zerwał wiszący na ścianie szponton i ruszył ku napastnikowi. Wiedział jednak, że spróchniałe drzewce broni nie da mu wystarczającej ochrony, a już na pewno nie na długo. Staruch wywinął berdyszem raz i drugi, rąbnął przy tym w futrynę drzwi, odłupując kilka drzazg. Van Aemstel, skulił się, przysiadł na moment, po czym wyprostował się i, gwałtownie nurkując pod toporzyskiem, pchnął w pierś starca. Ten odskoczył niezwykle żwawo, tnąc w drzewce szpontonu i gruchocząc spróchniałe drewno.



Sapnął z zadowoleniem i złośliwy uśmiech wykrzywił mu gębę. Wziął potężny zamach i ciął, mierząc w głowę Yanna. Ale zamiast trafić w czuprynę Van Aemstela, żeleźce utkwiło w futrynie drzwi. Starzec zaklął i wyrwał rapier z pochwy. Yann sięgnął po szablę, nie mógł już dłużej utrzymać mamiącego czaru, którym oszukał starca. Brzęknęły skrzyżowane główne, staruch napał na Yanna, przeciągając z ramienia zamachowe ciecie. Yann odparował, błysnął klingą przed oczyma przeciwnika i skoczył ku ścianie. Staruch ruszył ku niemu, pchnął sztychem w brzuch, przykucając na lewej nodze. Rapier, odbity, ześliznął się po głównej, Yann pociągnął szablę ku górze i zakręcił, wytrącając rękojeść z ręki starucha. Skoczył, przypierając starego do ściany, ze sztychem szabli na gardle.

Starzec ciężko sapał, słaniając się na nogach.

– Wiele się nauczyłeś Van Aemstel przez te kilka lat. – zachrypiał.

– A ty zgrzybiałeś w tym zamczysku. Czyżbyś się zestarzał?

– W moich latach zestarzeć się już nie można. Czegóż tu szukasz? I zabierz ten rozen, pokonałeś mnie przecież. – Stary ostrożnie odsunął klingę dłonią, śmiejąc się chytrze. Yann odsunął ostrze.

– Stęskniłem się za tobą, staruchu. Znudziło mi się to błędzenie po szerokim świecie i zapragnąłem odwiedzić nasz kochany zameczek. Brakowało mi też twojej gościnności.

Stary zarechotał

– Widzę, że ci się w podróżach dowcip wyostrzył. Chwalić to trzeba. Gadaj Yannie, cóż cię to sprowadza.

– Uroki. A konkretnie magia portretów. Szukam dwu nowych wizerunków, dziecka i starszego mężczyzny. Czar rzucono niedawno, początkiem jesieni. Oboje nie ulegli jeszcze całkowicie działaniu uroku., ale czasu niewiele im pozostało. Pewnie wiesz coś o tym.

– Cóż, Van Aemstel. Ja jestem jeno Strażnikiem Gmachu. Dobrze wiesz, nic mi do tego, kto i co tutaj robi. Byleby tylko do bractwa należał. Jeśli zdoła wywinąć się spod mego berdysza. – Starzec pogładził żeleźce broni. – Był tu jeden z Bractwa, nie znam go nawet. We wschodniej wieży znajdziesz malunki. Wpuściłem go, bo niezłe toporem robił. Rzadko się już takich spotyka, ginie w narodzie miłość ku prawdziwej broni. Wszyscy jeno te szabelki i szpadki...

Yann nie słuchał już marudzenia starca. Ruszył w kierunku komnat wschodniej wieży. Portrety księcia i jego córki leżały na podłodze w ciemnym kacie komnaty. Z pozoru wydawały się równie stare, jak wszystkie inne Ale Yann nie dał się zwieść malarskim sztuczkom. Ułożył obrazy we wnęce okiennej.

Z obu płócien patrzyły na malarza twarze modeli, pokryte drobną siecią zmarszczek, o oczach wyblakłych, pozbawionych blasku, siwiejących włosach.

Yann z wiszącej u pasa sakwy wyjął przybory malarskie. Ułożył je na parapecie i zabrał się do pracy. Musiał pokryć obrazy nowym malowidłem, które miało odwrócić zły czar.

* * *

Van Aemstel podciągnął popręg ogierowi i wskoczył na siodło. Czar został zdjęty. Wiedział jednak, że w końcu będzie się musiał spotkać z tym, który rzucił urok. Przed nim ciągnął się Obszar, puste stepy, gdzie od czasu do czasu jedynie majaczyły kurhany, ślady po dawnych bitwach. Ruszył na południe, pamiętał, że tam leży wioska, a w niej gospoda, gdzie karczmarz Beiszer warzy niezłe piwo.